

david baldacci

AUTOR **BESTSELLERÓW** *KOLOR PRAWDY* i *DOWÓD PRAWDY*

0 CALENIE



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

David Baldacci

Ocalenie

przełożył
Maciej Kubicki



Warszawa 2012

Tytuł oryginału: *Saving Faith*

Copyright © 1999 by Columbus Rose Ltd.

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Maciej Kubicki

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

ISBN: 978-83-7670-517-0



www.fabrykasensacji.pl

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

www.buchmann.pl

Konwersja:



Aaronowi Priestowi, mojemu przyjacielowi

Podziękowania

Mojej drogiej przyjaciółce Jennifer Steinberg za zbieranie dla mnie informacji: byłabyś znakomitym detektywem!

Mojej żonie Michelle za to, że zawsze mówi mi prawdę o moich książkach.

Nealowi Schiffowi z FBI za stałą pomoc i współpracę przy moich powieściach.

Szczególnie dziękuję agentowi specjalnemu FBI Shawnowi Henry'emu za to, że tak szczerze darował mi swój czas, doświadczenie i entuzjazm, i za pomoc w uniknięciu kilku poważnych gaf. Shawn, dzięki twoim komentarzom ta książka jest dużo lepsza.

Marcie Pope za jej doskonałą i głęboką znajomość spraw Kapitolu i za cierpliwość w rozmowach z politycznym neofitą. Marto, jesteś doskonałym nauczycielem!

Bobby'emu Roenowi, Diane Dewhirst i Marty Paone za podzielenie się ze mną doświadczeniem i wspomnieniami.

Tomowi DePont, Dale'owi Barto i Charlesowi Nelsonowi z NationsBank za pomoc w sprawach finansowych i podatkowych.

Joemu Duffy'emu za oświecenie mnie w sprawie polityki pomocy dla zagranicy i związanych z nią procedur. Także jego żonie, Anne Wexler, za poświęcenie mi czasu i podzielenie się wartościowymi poglądami.

Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję memu przyjacielowi Bobowi Schule'owi za pomoc znacznie przekraczającą obowiązki, za to, że nie tylko dzielił się ze mną fascynującymi szczegółami na temat swej długiej i znakomitej kariery w Waszyngtonie, ale też starał się skontaktować mnie ze swymi przyjaciółmi i kolegami, bym mógł lepiej zrozumieć politykę, działania lobbystyczne oraz to, jak naprawdę funkcjonuje Waszyngton. Bob, jesteś cudownym przyjacielem i prawdziwym zawodowcem.

Kongresmanowi Rodowi Blagojevichowi (demokracie z Illinois) za umożliwienie mi wglądu w życie członka Kongresu.

Kongresmanowi Tony'emu Hallowi (demokracie z Ohio) za pomoc w lepszym zrozumieniu tragedii biednych ludzi tego świata i tego, jak reaguje na nią (albo nie) Waszyngton.

Mojemu przyjacielowi i członkowi rodziny, kongresmanowi Johnowi Baldacciemu (demokracie z Maine) za pomoc i wsparcie dla tego projektu. Gdyby wszyscy w Waszyngtonie byli podobni do Johna, to historia opowiedziana w tej książce byłaby całkowicie nieprawdopodobna.

Larry'emu Benoitowi i Bobowi Beene'owi za pomoc we wszystkim, od działań lobbystycznych, poprzez ukryte mechanizmy rządzenia, do szczegółów technicznych i tajemnic budynku Kapitolu. Im zawdzięczam jedną z moich

ulubionych scen tej książki.

Markowi Jordanowi z Baldino's Lock and Key, dzięki któremu poznałem działanie systemów bezpieczeństwa oraz sieci telefonicznych, a także sposoby ich przełamania. Mark, jesteś najlepszy.

Steve'owi Jenningsowi za to, że jak zwykle przeczytał całość i pomógł ją poprawić.

Moim drogim przyjaciołom, Davidowi i Catherine Broome, za pokazanie mi okolic Karoliny Północnej, a także za stałą zachętę i pomoc.

Wszystkim pozostałym osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki, ale z rozmaitych powodów chciały pozostać anonimowe. Nie dałbym rady bez was.

Mojemu redaktorowi i przyjacielowi Frances Jalet-Miller. Jej talent, zachęty i umiejętność delikatnej perswazji – tego właśnie każdy autor oczekuje od redaktora. Francie, obyśmy mieli wiele wspólnych książek.

Wreszcie, ale pod żadnym względem nie najmniej, dziękuję Larry'emu, Maureen, Jamiemu, Tinie, Emi, Jonathanowi, Karen Torres, Marcie Otis, Jackie Joiner i Jackie Meyer, Bruce'owi Paonessie i Peterowi Mauceriemu oraz całej reszcie rodziny Warner Books.

Wszystkie wymienione osoby podarowały mi swą wiedzę i pomoc potrzebne przy pisaniu tej powieści. Tylko ja jednak jestem odpowiedzialny za to, jak wykorzystałem tę pomoc do wyczarowania wszelkiego rodzaju oszustw, przekrętów i przestępstw, a także do wykreowania złowrogich postaci występujących w tej książce.

W wielkim podziemnym pokoju, do którego można się było dostać tylko jedną windą, siedziała grupa ponurych mężczyzn. Bunkier ten zbudowano potajemnie, pod pozorem renowacji stojącego na tym miejscu prywatnego budynku. Jego zadaniem miało być zapewnienie schronienia podczas ataku jądrowego tym członkom rządu amerykańskiego, którzy – jako mniej ważni – prawdopodobnie nie zdołaliby uciec na czas, ale i tak należała im się ochrona niedostępna dla przeciętnego obywatela. W polityce musi być porządek i hierarchia – nawet w obliczu totalnego zniszczenia.

W czasach, gdy zbudowano bunkier, na początku lat sześćdziesiątych, ludzie wierzyli, że zagrzebanie się w stalowym kokonie pozwoli przetrwać bezpośrednie uderzenie jądrowe. Po holokauście, który unicestwiłby resztę kraju, przywódcy polityczni mieli wynurzyć się z rumowiska choćby po to, by stwierdzić, że nie ma już niczego, czemu mogliby przewodzić.

Budynki znajdujące się na powierzchni zostały w większości wyburzone dawno temu, ale podziemny pokój cały czas był zdalny do użytku, przykryty tylko zrównanym sklepieniem, od lat nieczynnym. Obecnie ten zapomniany przez niemal wszystkich obiekt był miejscem spotkań pewnych osób z największej agencji wywiadowczej kraju. Spotkania te nie należały jednak do oficjalnych obowiązków tych, którzy na nich bywali. Omawiano tam działania nielegalne, a dzisiejszego wieczoru – wręcz związane ze zbrodnią. Dlatego przedsięwzięto dodatkowe środki ostrożności.

To miejsce było dość niewygodne i nic dziwnego, że uczestnicy tych tajnych spotkań nie przepadali za nim. Nawet jak na ich gust było ono zbyt w stylu Jamesa Bonda. Powierzchnia ziemi jednak jest tak dokładnie omotana siecią zaawansowanej techniki podsłuchiwania i śledzenia, że żadna rozmowa nie jest tam w pełni bezpieczna. Żeby uciec z pola widzenia i słyszenia wrogów, trzeba wkopać się w ziemię. Tony piasku nad sufitem oraz dodatkowa warstwa miedzi na i tak bardzo grubych stalowych ścianach sprawiały, że podziemny pokój był zabezpieczony przed ciekawskimi elektronicznymi uszami kręcącymi się w przestrzeni kosmicznej i wszędzie indziej.

Srebrzyste włosy większości obecnych świadczyły o tym, że zbliżali się do sześćdziesiątki, wieku obowiązkowego przejścia na emeryturę w ich agencji. W stonowanych, urzędniczych garniturach mogliby być lekarzami, prawnikami lub bankierami. Prawdopodobnie na drugi dzień po spotkaniu z nimi nikt nie pamiętałby żadnego z nich. Ta anonimowość była ich znakiem firmowym – ludzie tego pokroju z powodu takich właśnie szczegółów umierali, nierzadko gwałtowną śmiercią.

Uczestnicy tego sabatu znali tysiące tajemnic, które nigdy nie zostaną ujawnione społeczeństwu, gdyż z pewnością potępiłoby ono związane z nimi poczynania. Ameryka jednak często domaga się wyników – ekonomicznych, politycznych, społecznych i wszelkich innych – które można osiągnąć jedynie przez zamienienie

pewnych części globu w krwawą miazgę. Praca tych ludzi polegała na obmyśleniu dyskretnych metod, tak by odpowiednie działania nie odbiły się źle na wizerunku Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie by zabezpieczać kraj przed międzynarodowymi terrorystami i cudzoziemcami niezadowolonymi z rosnącej potęgi Ameryki.

Dzisiejsze zebranie zostało zwołane w celu omówienia planów zabicia Faith Lockhart. Wykonawczy rozkaz prezydencki co prawda zabraniał CIA angażować się w morderstwa, dzisiejszego wieczoru jednak zebrani nie reprezentowali Agencji, choć byli przez nią zatrudnieni. Były to ich prywatne działania i właściwie nie było żadnych różnic zdań co do tego, że ta kobieta musi umrzeć, i to szybko, bo – według nich – miało to zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa kraju. Ale konieczność poświęcenia jeszcze jednego życia powodowała, że spotkanie stawało się trudne, a zebrani przypominali gestykulujących parlamentarzystów, walczących na Kapitolu o wartość miliarda dolarów kawały kielbasy wyborczej.

- A więc twierdzisz - odezwał się jeden z białowłosych mężczyzn, wskazując szczupłym palcem w wypełnione dymem powietrze - że oprócz Lockhart musimy zabić agenta federalnego. Dlaczego zabijać jednego z naszych? To może prowadzić jedynie do nieszczęścia. - Potrząsnął głową z niezadowoleniem.

Mężczyzna siedzący u szczytu stołu kiwnął głową w zamyśleniu. Był to Robert Thornhill, najbardziej zasłużony żołnierz CIA z czasów zimnej wojny, człowiek o wyjątkowej pozycji w Agencji. Jego reputacja była nienaganna, a kolekcja zawodowych sukcesów nie miała sobie równych. Jako zastępca wicedyrektora do spraw operacji był ostatecznym zabezpieczeniem Agencji. Dyrektor operacyjny był odpowiedzialny za tajne zbieranie informacji wywiadowczych w terenie. Nic dziwnego, że kierownictwo operacyjne CIA było nieoficjalnie określane jako „kram szpiegów”, a jego szef nie był znany opinii publicznej. Było to doskonałe miejsce do tego, żeby wykonać jakąś konkretną robotę.

To Thornhill zorganizował doborową grupę ludzi, którzy byli tak samo jak on niezadowoleni z biegu spraw w CIA. On także pamiętał o istnieniu tej podziemnej kapsuły czasu oraz znalazł pieniądze na to, by potajemnie przywrócić pokój do stanu, w którym nadawał się do użytku, a nawet unowocześnić znajdujące się w nim urządzenia. Tysiące tego rodzaju zabawek, finansowanych przez podatników, było rozsianych po całym kraju i wiele z nich zdążyło już zniszczyć. Thornhill zwalczył pokusę uśmiechu. Co w końcu miałyby robić rząd, gdyby nie marnował ciężko zarobionych pieniędzy swych obywateli?

Kiedy w tej chwili błędził ręką po nierdzewnym stalowym blacie ze staroświeckimi popielniczkami, wdychał przefiltrowane powietrze i czuł nad głową ochronny chłód ton ziemi, wracał na chwilę myślami do czasów zimnej wojny. Wtedy przynajmniej sytuacja była jasna, wróg był spod znaku sierpa i młota. Mówiąc szczerze, Thornhill wolał jako przeciwnika potężnego rosyjskiego niedźwiedzia niż zwinnego węża pustynnego, którego obecność można było odkryć dopiero wtedy, gdy już wstrzyknął jad. Celem życia wielu było zachwianie Stanami Zjednoczonymi i Thornhill miał za zadanie pilnować, by im się to nigdy nie udało.

Thornhill rozejrzał się wokół stołu i z satysfakcją stwierdził, że każdy z obecnych jest tak samo jak on gotów do poświęceń w służbie dla kraju. Od kiedy tylko pamiętał, chciał służyć Ameryce. Jego ojciec pracował w OSS, poprzedniku CIA z okresu drugiej wojny światowej. Młody Thornhill niewiele wtedy wiedział o tym, co robi jego ojciec, ale stopniowo przejął jego filozofię życiową, według której nic nie jest ważniejsze od służenia ojczyźnie. Nic dziwnego, że Thornhill zaczął pracę w Agencji natychmiast po skończeniu Yale. Od tego momentu ojciec był dumny z syna, i vice versa.

Thornhill miał szare, ruchliwe oczy, kwadratowy podbródek i lśniące, przyprószone siwizną włosy, tworzące aureę wytworności. Miał niski i miły głos, a techniczny żargon przychodził mu równie łatwo jak strofy Longfellowa. Nosił trzyczęściowe garnitury i przedkładał fajkę nad papierosy. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat mógł spokojnie zakończyć służbę w CIA i wieść przyjemne życie byłego pracownika rządowego, obytego w świecie erudyty. Jednak taka możliwość nawet nie powstała mu w głowie, a przyczyna tego była oczywista: w ciągu ostatnich dziesięciu lat zakres działań i budżet CIA zostały poważnie okrojone. Potencjalnie prowadziło to do katastrofy, bo w burzach wybuchających obecnie w świecie często brali udział fanatycy nie związani z żadnymi ciałami politycznymi, za to mający dostęp do broni masowego rażenia. W czasach, gdy niemal wszyscy uważali, że odpowiedzią na wszelkie zło tego świata jest zaawansowana technika, nagle okazało się, że najlepsze satelity nie potrafią zagłębić się w uliczki Bagdadu, Seulu czy Belgradu i zmierzyć temperatury uczuć mieszkających tam ludzi. Komputery umieszczone w przestrzeni kosmicznej nie umiały zbadać, co myślą ci ludzie, jakie diabelskie żądze buszują w ich sercach. Thornhill zawsze wolał bystrego człowieka w terenie, gotowego zaryzykować życie, od najlepszej maszynierii dostępnej na rynku.

Takich właśnie utalentowanych ludzi zebrał wokół siebie w CIA - absolutnie lojalnych w stosunku do niego, a jednocześnie ciężko pracujących dla przywrócenia Agencji utraconego znaczenia. W końcu Thornhill znalazł na to sposób. Wkrótce powinien uzyskać kontrolę nad potężnymi kongresmanami, senatorami, nawet nad samym wiceprezydentem, a także nad wystarczającą liczbą wysokich urzędników, by nie dopuścić niezależnych doradców. Wtedy odżyją jego plany budżetowe, jego zasoby ludzkie wzrosną wielokrotnie, a Agencja wróci na należne jej czołowe miejsce w świecie.

Taka strategia zadziałała w wypadku J. Edgara Hoovera i jego FBI. Thornhill był przekonany, że nieprzypadkowo rozkwit budżetu i wpływów Biura za rządów nieżyjącego już dyrektora zbiegł się z pogłoskami o istnieniu jego szeroko komentowanych „tajnych” akt dotyczących potężnych polityków. Nienawidził FBI z całego serca, jak żadnej innej organizacji na świecie, a jednak po to, by Agencja powróciła na pierwszy plan, gotów był użyć każdej taktyki. Dobra, Ed, patrz, ja zrobię to lepiej.

Thornhill omiół wzrokiem zgromadzonych mężczyzn.

- Byłoby idealnie, gdybyśmy nie musieli zabijać jednego z naszych. Ale FBI roztoczyła nad nią całodobową tajną opiekę. Można ją dopaść jedynie wtedy, gdy

jedzie do tej chatki na wieś. Bez żadnego ostrzeżenia mogą ją objąć programem ochrony świadka, więc musimy uderzyć właśnie na wsi.

- No dobrze, zabijemy Lockhart, ale na miłość boską, Bob, zostawmy agenta FBI - odezwał się inny mężczyzna.

Thornhill potrząsnął głową.

- Za duże ryzyko. Wiem, że zabijanie agenta nie jest w porządku, ale zaniedbanie naszych obowiązków w takiej chwili byłoby katastrofalną pomyłką. Wiesz, ile zainwestowaliśmy w tę operację. Nie możemy popełnić błędu.

- Cholera, Bob - zachnął się oponujący - czy wiesz, co się stanie, gdy FBI się dowie, że puknęliśmy jednego z ich ludzi?

- Jeśli nie potrafimy dochować takiej tajemnicy, to nie mamy czego tu szukać - warknął Thornhill. - Nie po raz pierwszy poświęca się życie ludzkie.

Kolejny z obecnych włączył się do dyskusji. Był w tym gronie najmłodszy, ale zdążył zapracować sobie na szacunek grupy inteligencją i umiejętnością wykorzystywania krańcowego okrucieństwa.

- W gruncie rzeczy braliśmy pod uwagę jedynie scenariusz zabicia Lockhart, by zapobiec śledztwu FBI w sprawie Buchanana. A może by się zwrócić do dyrektora FBI i zaproponować mu, by rozkazał swej grupie zamknięcie tego dochodzenia? Wtedy nikt nie będzie musiał umrzeć.

Thornhill z niezadowoleniem spojrział na młodszego kolegę.

- A jak, twoim zdaniem, mielibyśmy wyjaśnić dyrektorowi FBI, dlaczego chcemy, by to zrobił?

- Może coś zbliżonego do prawdy? - podsunął młodszy mężczyzna. - Chyba nawet w wywiadzie jest czasem miejsce na coś takiego?

Thornhill uśmiechnął się łagodnie.

- Miałbym powiedzieć dyrektorowi FBI, który, nawiasem mówiąc, najchętniej widziałby nas na zawsze zamkniętych w muzeum, że chcemy, by zakończył potencjalnie wystrzałowe dochodzenie tylko dlatego, by CIA mogła użyć nielegalnych środków do uzyskania przewagi nad jego Biurem. Bardzo inteligentne. Czemu sam o tym nie pomyślałem? Przy okazji, gdzie chciałbyś odsiedzieć wyrok?

- Na litość boską, Bob, teraz współpracujemy z FBI, to już nie jest rok sześćdziesiąty. Nie zapominaj o CTC.

CTC, Centrum Antyterroryzmu, wspólne przedsięwzięcie CIA i FBI mające na celu usprawnienie zwalczania terroryzmu poprzez wymianę informacji i środków, ogólnie uważane było przez uczestników narady za sukces, natomiast dla Thornhilla był to po prostu kolejny sposób, w jaki FBI wtykało swoje paluchy w jego interesy.

- Miałem okazję brać udział w pracach CTC - powiedział. - Uznałem, że to idealne miejsce, z którego mogę kontrolować Biuro i ich plany, zazwyczaj nieoznaczające niczego dobrego dla nas.

- Przestań, Bob, jesteśmy w tej samej drużynie.

Thornhill wlepił wzrok w młodszego mężczyznę - tak że wszyscy w pokoju

zamarli.

- Nigdy więcej nie mów czegoś takiego w mojej obecności - wycedził.

Mężczyzna zbladł i usiadł.

Thornhill ścisnął w zębach fajkę i mówił dalej:

- Chcesz, żebym podał konkretne przykłady, gdy FBI przypisuje sobie zasługi i chwałę za pracę wykonaną przez nas? Za krew przelaną przez naszych agentów? Za te niezliczone wypadki, w których ratowaliśmy świat od unicestwienia? Jak manipulują dochodzeniami, by zmiażdżyć innych, by powiększyć swój i tak ogromny budżet? Mam wam opowiedzieć o tym wszystkim, co podczas trzydziestu sześciu lat mojej służby FBI zrobiło, by zdyskredytować nasze misje, naszych ludzi?

Mężczyzna, do którego te pytania były adresowane, powoli potrząsnął głową, gdy spoczął na nim wzrok Thornhilla.

- Nawet gdyby sam dyrektor FBI przyszedł tutaj, całował moje buty i przyrzekał mi wieczną uległość, to i tak nie dałbym się przekonać. Nigdy! Wyrażam się jasno?

- Rozumiem. - Młodszy mężczyzna, wypowiadając te słowa, bardzo się starał nie kręcić głową ze zdziwienia. Wszyscy obecni w tym pokoju, poza Robertem Thornhillem, wiedzieli, że FBI i CIA w rzeczywistości dobrze z sobą żyją. Może czasami FBI siłą forsowało swoje zdanie we wspólnych dochodzeniach, bo miało więcej środków niż ktokolwiek inny, ale nie znaczyło to, by Biuro prowadziło planowe działania zniszczenia Agencji. Rozumieli też jednak, że Robert Thornhill wierzył w to, iż najgorszym ich wrogiem jest właśnie FBI. Wiedzieli, że przez lata Thornhill decydował o sporej liczbie zabójstw dokonanych przez Agencję i robił to z talentem i poświęceniem. Jak wejść w drogę komuś takiemu?

Odezwał się inny mężczyzna:

- Nie uważacie, że jeśli zabijemy tego agenta, to FBI zrobi wszystko, by dowiedzieć się prawdy? Mają dość środków, by przekopać całą ziemię. Bez względu na to, jak dobrzy jesteśmy, nie dorównamy im. Co wtedy?

Wśród zebranych dał się słyszeć pomruk. Thornhill z obawą rozejrzał się po obecnych. To niełatwy sojusz. Ci ludzie mają lekką manię prześladowczą, są nieobliczalni i nawykli do polegania na własnej ocenie sytuacji. Naprawdę, cudem było już zebranie ich razem.

- FBI oczywiście zrobi wszystko, co możliwe, by wyjaśnić zabójstwa swojego agenta oraz głównego świadka w jednym z najambitniejszych dochodzeń w ich dziejach. Chciałbym więc zaproponować podsuniecie im takiego rozwiązania, jakie chcieliby znaleźć.

Obecni spojrzeli z zaciekawieniem. Thornhill napił się wody ze szklanki i przez długą chwilę rozpałał fajkę.

- Faith Lockhart latami pomagała Buchananowi prowadzić jego działania, aż w końcu wzięły w niej górę sumienie lub rosnące poczucie zagrożenia. Zgłosiła się do FBI i zaczęła opowiadać im o wszystkim, co wie. Dzięki mojej przezorności dowiedzieliśmy się o tym, ale Buchanan absolutnie nie wie, że jego partnerka zwróciła się przeciw niemu. Nie wie też, że zamierzamy ją zabić. O tym wiemy

tylko my. – Thornhill w duchu pogratulował sobie tej ostatniej uwagi. To zabrzmiało dobrze, stwarzało poczucie wszechwiedzy. Poza tym to jego specjalność. Mówił dalej: – FBI natomiast może podejrzewać albo może się dowiedzieć, że Buchanan wie o jej zdradzie. Dla postronnego obserwatora nikt na świecie nie miałby większej motywacji, by zabić Faith Lockhart.

– O co ci chodzi?

– O to, że zamiast pozwalać Buchananowi zniknąć, wskażemy FBI, że on i jego klienci dowiedzieli się o podwójnej grze Lockhart, i to oni kazali zabić ją i agenta.

– Ale kiedy wezmą Buchanana, to on wszystko im powie – padła szybka odpowiedź.

Thornhill spojrział na rozmówcę jak niezadowolony nauczyciel na ucznia. W ciągu ostatniego roku dostali od Buchanana wszystko, czego potrzebowali, więc w tej chwili można się było go pozbyć. Ta prawda powoli docierała do zgromadzonych.

– Wskażemy więc Buchanana pośmiertnie. Trzy śmierci. To znaczy, inaczej: trzy zabójstwa – podsumował inny mężczyzna.

Thornhill rozejrzał się po pokoju i uważnie sondował reakcję obecnych na jego plan. Pomimo protestów w obliczu konieczności zabicia agenta FBI wiedział, że dla tych ludzi trzy śmierci nic nie znaczą. Oni byli ze starej szkoły, w której doskonale rozumiano, że tego rodzaju poświęcenia są czasami niezbędne. Przecież to, co robili zawodowo, czasami kosztowało życie ludzkie, ale jednocześnie dzięki temu unikano otwartej wojny. Zabić trzech, by ocalić trzy miliony – któż mógłby dyskutować z takim rachunkiem, nawet biorąc pod uwagę, że ofiary były względnie niewinne. Każdy żołnierz ginący w bitwie też jest niewinny. Thornhill wierzył, że w tajnych operacjach, enigmatycznie nazywanych w kręgach wywiadowczych „trzecią opcją” pomiędzy dyplomacją a wojną, CIA może najpełniej dowieść swojej wartości. Wiedział jednak, że są one także przyczyną najgorszych nieszczęść w historii Agencji. Lecz, szybko dodał w myśli, bez ryzyka nie ma szansy na chwałę. O, takie właśnie epitafium chciałby mieć na nagrobku.

Thornhill nie zarządził żadnego formalnego głosowania. Nie było takiej potrzeby.

– Dziękuję, panowie – powiedział. – Zajmę się wszystkim.

Przy końcu krótkiej żwirowej drogi, o poboczach zarośniętych mleczem, szczawiem i rdestem, przycupnęła mała chatka kryta gontem. Upadający budynek stał na akrowej, pustej działce, którą z trzech stron otaczał tak gęsty las, że każde drzewo walczyło o skrawek słońca. Ze względu na podmokły teren ten osiemdziesięcioletni dom nigdy nie miał żadnego sąsiada. Najbliższa osada znajdowała się około pięciu kilometrów stąd. Można też było dostać się tam na skróty, jeśli ktoś miał dość siły, by przedzierać się przez gęstwinę leśną.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat w tej wiejskiej chatce najczęściej nastolatki urządzały spontaniczne imprezy albo bezdomni włóczędzy szukali względnego bezpieczeństwa czterech ścian i dachu (co prawda, dziurawego) nad głową. Obecny właściciel, który niedawno odziedziczył chatkę, w końcu postanowił ją wynająć. Dość szybko znalazł chętnego lokatora, który zapłacił roczny czynsz z góry – gotówką.

Tej nocy wzmagający się wiatr mierzwił wysoką trawę w ogródku przed domem. Za domem potężne dęby również pochylały korony tam i z powrotem. Poza tym nie było słychać żadnych dźwięków.

Oprócz jednego.

W lesie, kilkaset metrów za domem, w płytkim korycie strumienia człapała para stóp. Mężczyzna zatrzymał się, by otrzeć buty o pień leżącego drzewa.

Lee Adams był jednocześnie spocony i przemarznięty po tej niełatwej wycieczce. Czterdziestojedynolletni dwumetrowiec był wyjątkowo silny, w jego pracy utrzymywanie formy fizycznej było koniecznością. Co prawda często wymagano od niego także siedzenia całymi dniami w samochodzie albo przeglądania mikrofilmów w bibliotekach czy sądach, jednak od czasu do czasu musiał się wspinać na drzewa, walczyć z mężczyznami nawet większymi od niego, albo – jak teraz – przedzierać się w środku nocy przez zarośnięte lasy. W pracy doświadczył już tylu złamań kości i innych rozmaitych kontuzji, że jego ciało czuło się o wiele starzej, niż wyglądało. To właśnie coraz częściej odczuwał, gdy wstawał rano, jako łamanie w kościach albo inne drobne bóle. Czasem się zastanawiał: czy to guz nowotworowy czy zwykły reumatyzm? Jakie to zresztą, do cholery, miało znaczenie? Kiedy Bóg skasuje czyjś bilet, robi to bez odwołania. Ani odpowiednia dieta, ani fikanie z hantlami czy dreptanie po bieżni nie zmienią jego decyzji o przecięciu twojej nici.

Lee spojrział przed siebie. Jeszcze nie mógł dostrzec chatki, bo las był zbyt gęsty. Wyjął z plecaka aparat fotograficzny i nerwowo przez chwilę przy nim majstrował, biorąc głębokie, ożywcze oddechy. Wcześniej kilka razy przeszedł już tę trasę, ale nigdy nie wszedł do chatki. Widział tu jednak różne dziwne rzeczy i dlatego wrócił. Był już najwyższy czas, żeby poznać tajemnice tego miejsca.

Kiedy wróciły mu siły, ruszył dalej. Za jedynych kompanów miał dzikie zwierzęta, bo w tej wiejskiej części Wirginii wciąż sporo było jeleni, zajęcy, wiewiórek, a

nawet bobrów. Widział oszalałe nietoperze, ślepo przecinające powietrze nad jego głową. Na dodatek wydawało mu się, że co kilka kroków wpada prosto w rój komarów. Chociaż dostał sporo forsy z góry, jako zaliczkę, poważnie rozważał możliwość zażądania wyższej stawki w tym wypadku.

Zbliżył się do skraju lasu. Miał spore doświadczenie w szpiegowaniu ludzi i wiedział, że najlepiej działać powoli i metodycznie. Trzeba po prostu mieć nadzieję, że nie zdarzy się nic, co zmusiłoby człowieka do improwizacji.

Jego złamany nos był honorową pamiątką z czasów, gdy próbował sił jako bokser w marynarce wojennej i wyładowywał młodzieńczą agresję w otoczonym linami ringu, stając naprzeciw innego młodzieńca o podobnej wadze i umiejętnościach. Jego arsenał zawierał parę ciężkich rękawic, szybkie ręce i zwinne nogi, trzeźwy umysł i serce do walki. W większości wypadków to wystarczało do zwycięstwa.

Kiedy skończył służbę wojskową, dalej wiodło mu się dobrze. Nigdy nie był bogaty, ale też nie klepał biedy, mimo że sam był swoim pracodawcą. Od niemal piętnastu lat rozwiedziony, z dumą myślał o córce, Renee Adams, która właśnie skończyła dwadzieścia lat: wysoka, inteligentna blondynka, posiadaczka stypendium Uniwersytetu Wirginii i gwiazda tamtejszego żeńskiego zespołu lacrosse. Niestety, przez ostatnie dziesięć lat Renee Adams nie wykazywała najmniejszego zainteresowania jakimikolwiek kontaktami z ojcem. Lee wiedział, że ta decyzja miała pełne błogosławieństwo jej matki.

Była żona wydawała się tak miła na tych kilku pierwszych randkach, tak oszalała na punkcie jego munduru, tak pełna entuzjazmu w łóżku. Nazywała się Trish Bardoe i wcześniej była striptizerką. Po rozwodzie ponownie wyszła za mąż za faceta o nazwisku Eddie Stipowicz, bezrobotnego inżyniera alkoholika. Lee uważał, że Trish zmierza ku nieszczęściu, i starał się przejąć opiekę nad Renee na takiej podstawie, że jej matka i ojczym nie mogą jej utrzymać. I właśnie wtedy Eddie, ten tchórzliwy kundel, którym Lee pogardzał, wynalazł – pewnie przypadkowo – jakieś mikrochipowe gówno, które uczyniło go miliarderm. Walka o opiekę nad córką straciła sens. Klęskę pogłębiało to, że o Eddiem pisano w „Wall Street Journal”, „Newsweeku”, tygodniku „Time” i innych publikacjach – był sławny. Ich dom pojawił się nawet w „Architectural Digest”.

Lee widział ten numer „Digesta”. Nowy dom Trish był olbrzymi, purpurowy czy fioletowy, tak ciemny, że Lee skojarzył go z wnętrzem trumny. Okna miały rozmiary katedralne, meble były tak wielkie, że można się było w nich zgubić, a ilość drewna na ścianach, podłogach i klatkach schodowych wystarczyłaby na ogrzanie przeciętnej miasteczka Środkowego Zachodu przez okrągły rok. Były tam także kamienne fontanny z rzeźbami nagich postaci – co za kicz! Wewnątrz artykułu znajdowało się nawet zdjęcie szczęśliwej pary.

Uwagę Lee przyciągnęło jednak inne zdjęcie: Renee siedzącej na najwspanialszym ogierze, jakiego Lee widział w życiu, wśród trawy tak zielonej i tak doskonale utrzymanej, że przypominała szmaragdowe morze. Lee starannie wyciął to zdjęcie i umieścił w albumie rodzinnym. Oczywiście w artykule nie było najmniejszej wzmianki o nim, zresztą nie było żadnego powodu, by taka tam się

znalazła. Wytrąciła go tylko z równowagi wzmianka o Renee jako o córce Eda.

- Pasierbica - powiedział na głos, kiedy przeczytał odpowiednią linijkę. - Pasierbica. Tego nie zmienisz, Trish.

Zazwyczaj nie czuł zazdrości z powodu bogactwa, w które teraz opływała jego była żona, gdyż wiedział, że dzięki temu córka nigdy nie będzie w potrzebie. Czasami jednak to bolało.

Kiedy ten wielki, twardy facet pozwalał sobie na rozmyślanie o tej wielkiej dziurze w jego życiu, to zawsze kończyło się dziecięcym łkaniem. Życie czasami bywa zabawne, tak jak kiedy jednego dnia dostaje się doskonałe wyniki badań lekarskich, a następnego się umiera.

Lee przycisnął aparat fotograficzny do piersi. Załadował tam film o czułości ISO 400, który turbodoładowywał, nastawiając aparat na czułość

1600. Czuły film potrzebuje mniej światła, więc można krócej otwierać migawkę i w ten sposób zmniejsza się prawdopodobieństwo, że drgania aparatu zakłócają zdjęcia. Podłączył 600-milimetrowy teleobiektyw i ustawił statyw. Spojrzał pomiędzy gałęziami dzikiego derenia i skoncentrował wzrok na tyłach domu. Zrobił serię zdjęć, po czym odłożył aparat.

Z miejsca, z którego patrzył na dom, nie mógł ocenić, czy ktoś jest w środku. Co prawda nie widział żadnych świateł wewnątrz, ale mógł być tam jakiś pokój niewidoczny dla niego. Na dodatek nie widział frontu domu, a z tego co wiedział, tam właśnie mógł stać samochód.

Popatrzył w niebo. Wiatr właśnie zanikał. Lee z grubsza ocenił, że chmury będą jeszcze kilka minut przesłaniać księżyc, zarzucił plecak, na chwilę się skupił, jakby zbierał całą energię, po czym wymknął się z lasu.

Poruszał się bezszelestnie, aż dotarł do miejsca, gdzie mógł przycupnąć za kępą przerośniętych krzaków i obserwować zarówno tył, jak i front domu. Cienie pojaśniały - pojawił się ponownie księżyc. Leniwie przyglądał się, co Lee tutaj robi.

Chatka, choć tak izolowana, znajdowała się zaledwie czterdzieści minut jazdy samochodem od centrum Waszyngtonu. Z tego powodu była bardzo wygodna dla wielu różnych celów. Lee sprawdził właściciela - okazało się, że wszystko jest zgodne z prawem. Trudniej było znaleźć najemcę.

Lee wyjął urządzenie, które wyglądało jak magnetofon kasetowy, ale w rzeczywistości był to zasilany baterią elektroniczny wytrych w pokrowcu zamykanym na zamek błyskawiczny. Namacał rozmaite wytrychy i wyjął odpowiedni. Za pomocą klucza Allena zamocował wytrych w maszynie. Jego palce poruszały się szybko i pewnie, choć kolejne pasmo chmur przesłoniło księżyc. Lee robił to już tyle razy, że z zamkniętymi oczami mógłby z zadziwiającą precyzją manipulować narzędziami włamywacza.

Podczas jednej z poprzednich wizyt, za dnia, przyjrzał się przez lunetę zamkom chatki. Wyniki oględzin zbiły go nieco z tropu: zamki wszystkich zewnętrznych drzwi były wyposażone w rygle antywłamaniowe, wszystkie okna na parterze i na pierwszym piętrze miały zamki zatraskowe, a na dodatek urządzenia te wyglądały

na nowe. I to wszystko w chyłącym się ze starości domku do wynajęcia gdzieś w Ameryce.

Kiedy o tym myślał, pomimo panującego chłodu na jego czole pojawiły się krople potu. Uspokajająco podziałał dotyk metalu: dziewięćmilimetrowy pistolet automatyczny tkwił w kaburze. Po chwili przestawił go w położenie naładowane i zabezpieczone: ładunek w komorze naboju, kurek odciągnięty, włączone zabezpieczenie.

Chatka miała też system alarmowy. To był prawdziwy szok. Gdyby Lee był rozsądny, spakowałby sprzęt, wrócił do domu i zameldował zleceniodawcy o niepowodzeniu przedsięwzięcia. A jednak była to dla niego kwestia zawodowej dumy: będzie badał tę sprawę co najmniej do chwili, gdy się wydarzy coś, co zmieni jego przekonanie. A Lee potrafił biegać naprawdę bardzo szybko.

Wejście do domu nie było wcale tak trudne, szczególnie gdy zdobył kody wejściowe. Udało mu się to za trzecią bytnością w tym miejscu, kiedy do chatki przyjechało dwoje ludzi. Wcześniej już odkrył, że dom ma alarm, był więc przygotowany. Siedział wtedy w tej samej kępie krzaków i czekał, aż wyjdą. Wówczas kobieta wprowadziła kod, by włączyć system, a Lee przypadkiem miał przy sobie małe elektroniczne cudo, które przechwyciło ten kod wprost z powietrza tak łatwo, jak bramkarz łapie wolno lecącą piłkę. Wszystkie prądy elektryczne tworzą pole magnetyczne, więc kiedy kobieta wystukiwała numery, system bezpieczeństwa wysyłał przy każdej cyfrze osobne sygnały wprost do siatki Lee.

Lee zaczekał, aż chmury ponownie zakryją księżyc, włożył lateksowe rękawiczki ze wzmocnionymi opuszkami palców i wnętrzem dłoni, po czym przygotował latarkę i wziął głęboki oddech. Szybko podbiegł do tylnych drzwi. Zsunął zabłocone buty i postawił je obok drzwi. Nie chciał zostawiać śladów. Dobry prywatny detektyw jest niewidzialny. Trzymał pod pachą latarkę, wsunął wytrych w zamek i włączył urządzenie.

Używał tej maszynki, żeby było szybciej, bo nie był jeszcze wystarczająco sprawnym włamywaczem. To prawdziwa sztuka, a Lee znał swoje możliwości. Doświadczony włamywacz potrafiłby otworzyć zamek szybciej, niż Lee mógłby to zrobić swoim urządzeniem. Tak czy owak, po chwili zasuwa się odsunęła.

Kiedy otworzył drzwi, ciszę przerwało niskie buczenie systemu bezpieczeństwa. Szybko odszukał panel kontrolny, wstukał sześć cyfr i buczenie natychmiast ustało. Lee zamknął delikatnie za sobą drzwi i poczuł się jak włamywacz.

Mężczyzna opuścił karabin i czerwona kropka laserowego celownika znikła z szerokich pleców niczego niepokojącego Lee Adamsa. Był to Leonid Sierow, były oficer KGB specjalizujący się w zabójstwach. Po rozpadzie Związku Radzieckiego Sierow został nagle pozbawiony dochodowego zajęcia, ale jego talent do zabijania ludzi był w cenie także w tak zwanym cywilizowanym świecie. Przez lata rozpieszczany jako komunista, z własnym mieszkaniem i samochodem, stał się bogatym kapitalistą dosłownie w ciągu jednej nocy. Gdybyż wiedział o tym wcześniej...

Sierow nie znał Lee Adamsa i nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego się tu znalazł. Nie zauważył go do chwili, gdy Lee wyskoczył z krzaków w pobliżu domu. Sierow odgadł, że dźwięki związane z jego obecnością zagłuszył wiatr. Spojrzał na zegarek. Niedługo przyjadą. Sprawdził wydłużony tłumik przyłączony do karabinu i delikatnie pogłaskał jego wylot, jakby dotykał ulubionego zwierzątka, jakby przenosił na polerowany metal poczucie nieomyślności. Karabin wykonany był ze specjalnego kompozytu kevlaru, włókien szklanych i grafitu, co zapewniało doskonałą stabilność. Wylot karabinu również nie był wyprofilowany jak zwykle, jego przekrój był wynikiem tak zwanego gwintowania wielokątowego i przypominał prostokąt z zaokrąglonymi krawędziami. Taki profil lufy miał zwiększać prędkość wylotu o ponad osiem procent, a także, co bardziej istotne, balistyczne badanie kuli wystrzelonej z broni tego typu było w zasadzie niemożliwe, ponieważ nie było żadnych wgłębień czy wyrzuseń wewnątrz lufy, które mogłyby spowodować specyficzne znaki na pociskach wystrzelonych z tej broni. Naprawdę, sukces zależał od szczegółów: Sierow całą karierę zbudował na tej filozofii.

Jego droga ucieczki przez las miała go zaprowadzić do cichej dróżki, a stamtąd samochód szybko odwiezie go do pobliskiego portu lotniczego Allen Dulles. Potem zajmie się kolejnymi zadaniami w innych miejscach, prawdopodobnie bardziej egzotycznych niż to tutaj. Co prawda, z jego punktu widzenia takie miejsce jak ta chatka na wsi miało swoje zalety.

Najtrudniej zabić kogoś w mieście. Ustalenie miejsca strzału, naciśnięcie spustu i ucieczka są ogromnie skomplikowane z powodu wszechobecności świadków i policji. W wiejskim otoczeniu, z jego izolacją, drzewami, odległościami między domami, można się czuć jak tygrys w zagrodzie z bydłem i zabijać z nudną wręcz wydajnością przez siedem dni w tygodniu.

To miejsce było tak odosobnione, że Sierow zastanawiał się, czy nie odłączyć tłumika i polegać na swych zdolnościach strzelca wyborowego, doskonałym celowniku i świetnie opracowanym planie ucieczki. To zupełnie tak jak z padającym drzewem: jeśli się zabije kogoś w środku lasu, kto usłyszy, jak umiera? Z jednej strony wiedział, że niektóre tłumiki znacznie zakłócają tor pocisku, co może spowodować, że nikt nie umrze oprócz niedoszęłego zabójcy - wtedy mianowicie, kiedy klient dowie się o niepowodzeniu. Z drugiej strony jednak osobiście nadzorował konstrukcję urządzenia i ufał, że zadziała tak, jak powinno.

Rosjanin poruszył się cicho. Był tutaj od zmroku, ale, przyzwyczajony do długiego oczekiwania, podczas zadań nigdy się nie męczył. Traktował życie wystarczająco poważnie, by przygotowania do zakończenia czyjegoś życia powodowały u niego wysoki poziom adrenaliny. Ryzyko chyba zawsze przynosi ożywienie. Niezależnie od tego, czy ktoś się wspina w wysokich górach, czy też przygotowuje zabójstwo - czuje się bardziej żywy, gdy z bliska może zajrzeć śmierci w oczy.

Sierow siadł na pniu zaledwie dziesięć metrów od domu. Miejsce to zapewniało czyste pole strzału, bo pocisk potrzebuje zaledwie kilku centymetrów przestrzeni. Powiedziano mu, że mężczyzna i kobieta wejdą do tego domu tylnymi drzwiami. To znaczy: będą usiłować wejść, ale im się to nie uda. Co laser naznaczy, pocisk

zniszczy. Był pewien, że z dwukrotnie większej odległości trafiłyby światlika, nie przewidywał więc żadnych problemów. Wszystko tak doskonale zorganizowano, że instynkt nakazywał mu być ciągle w pogotowiu. Miał teraz doskonały powód, by nie wpaść w pułapkę nadmiernej pewności siebie: w domu był jakiś mężczyzna. To nie był policjant, bo ludzie zajmujący się egzekwowaniem prawa nie prześlizgują się przez krzaki i nie włamują się do domów. Sierow nie został powiadomiony wcześniej o obecności tego mężczyzny, więc uznał, że intruz nie może być jego sprzymierzeńcem. Rosjanin jednak nie znosił zmieniania planów. Postanowił więc, że jeśli mężczyzna zostanie w domu, kiedy tamci przyjadą i zginą, to będzie trzymał się pierwotnego planu i ucieknie przez las. Jeśli natomiast mężczyzna w jakikolwiek sposób się wmiesza lub też pojawi się na zewnątrz po tym, jak padną strzały... Trudno, Sierow ma dość amunicji: będą trzy martwe ciała zamiast dwóch.

Daniel Buchanan siedział w zaciemnionym gabinecie i popijał kawę tak mocną, że nieomal czuł, jak z każdym łykiem przyśpiesza mu tętno. Przeciągnął dłonią po włosach – posiwiałych po trzydziestu latach waszyngtońskich zmaganiach, ale wciąż gęstych i kręconych – ogromnie wyczerpany po kolejnym długim dniu przekonywania ustawodawców, że jego sprawy warte są ich uwagi. Coraz częściej jedynym lekarstwem na zmęczenie były olbrzymie ilości kofeiny. Rzadko miewał możliwość całonocnego snu. Jego wypoczynek sprowadzał się do drzemek tu czy tam, przymknięcia oczu podczas jazdy na kolejne spotkanie czy następny lot, do chwilowych odpłynięć w nieświadomość podczas niekończących się przesłuchań w Kongresie, czasami była to godzina snu we własnym łóżku. Przez resztę czasu pracował, we wszelkich możliwych znaczeniach tego słowa, na Kapitolu.

Tego wysokiego, mierzącego metr dziewięćdziesiąt mężczyznę o szerokich barach i błyszczących oczach od młodości cechowała olbrzymia chęć wybicia się. Jego najbliższy przyjaciel z dzieciństwa został politykiem, ale Buchanana nie interesowało zajmowanie stanowiska. Jego żywy dowcip i naturalny dar perswazji uczyniły z niego doskonałego lobbystę. Był wcieleniem sukcesu, a praca była jego jedyną obsesją. Nie czuł się dobrze, gdy nie zajmował się ułatwianiem lub uniemożliwianiem procesu legislacyjnego.

Kiedy siedział w pokojach rozmaitych kongresmanów, często słyszał dźwięk dzwonka wzywającego na głosowanie. Na ekranie telewizora stojącego w biurze każdego członka Izby widać było liczbę obecnych, aktualny wynik głosowania oraz czas, w którym głosujący muszą zdążyć oddać swój głos. Kiedy zostawało około pięciu minut na głosowanie, Buchanan kończył spotkanie i biegiem ruszał korytarzem w poszukiwaniu kolejnych posłów, z którymi chciał rozmawiać. W rękę ścisnął zazwyczaj *Whip Wind-up Report*, zawierający planowane terminy głosowań i pomocny w określeniu, gdzie mogą się w danej chwili znajdować poszczególni członkowie Izby. Te informacje były mu niezbędne, gdy musiał ścigać dziesiątki ruchomych celów, które na dodatek prawdopodobnie nie miały ochoty z nim rozmawiać.

Tego dnia udało mu się dotrzeć do ważnego senatora i był przekonany o powodzeniu tej rozmowy. Nie był to jeden z jego „specjalnych” ludzi, ale z pewnością mógł się okazać przydatny. Buchanana nie interesowała popularność jego klientów czy jej brak, ani to, że nie reprezentowali elektoratu przyciągającego uwagę posłów. Po prostu cały czas ciężko pracował. Jego cel był godny, wobec czego uświęcał środki.

Biuro Buchanana było oszczędnie umeblowane; brakowało w nim wielu akcesoriów zazwyczaj spotykanych w pomieszczeniach, w których urzędowali wzięci lobbyści. Danny – lubił, kiedy tak go nazywano – nie miał komputera, dyskietek, akt, notatek ani niczego podobnego. Akta na papierze można ukraść, do komputera może się włamać haker. Szpiegzy podsłuchują za pomocą wszystkiego,

począwszy od szklanek przytkniętych do ściany, a skończywszy na najnowszych gadżetach, które rok wcześniej nie były jeszcze wynalezione, a które mogą wprost z powietrza wyssać wartościowe informacje. Rozmowy telefoniczne też są podsłuchiwane cały czas. Przeciętą organizacja traci poufne informacje w tempie, w jakim na storpedowanym statku giną marynarze. A Buchanan miał sporo do ukrycia.

Od ponad dwudziestu lat był najważniejszym lobbystą Waszyngtonu i w gruncie rzeczy to on położył podwaliny pod nowoczesne działania lobbystyczne. Ewolucja tej profesji biegła od świetnie opłacanych prawników, drzemających na przesłuchaniach w Kongresie, do świata o obezwładniającej złożoności i najwyższych możliwych stawkach w grze. Buchanan był na Kapitolu rewolwerowcem do wynajęcia. Działał w imieniu firm zanieczyszczających środowisko w walkach z Urzędem Ochrony Środowiska, żeby jego klienci mogli rozsiewać śmierć wśród nieświadomej ludności; był głównym politycznym strategiem gigantów farmaceutycznych, które zabijały matki i ich dzieci; po czym znów zaangażowanym adwokatem producentów broni, którzy nie przejmowali się tym, czy ich produkty spełniają wymogi bezpieczeństwa; dalej zakulisowym graczem koncernów samochodowych, które wołały walczyć, niż przyznać, że myliły się w sprawach bezpieczeństwa użytkowników swych produktów; w końcu dopadł najbardziej dojnej z dojnych krów: przewodził wysiłkom przedsiębiorstw tytoniowych w ich krwawych wojnach ze wszystkimi. Waszyngton nie mógł ignorować jego ani jego klientów, a sam Buchanan dorobił się kolosalnej fortuny.

Niektóre opracowane przeciw strategię stały się już narzędziami obecnych manipulacji legislacyjnych. Przed laty obmyślił, by kongresmani składali w Izbie projekty ustaw, co do których był pewien, że padną, po to tylko, by nie dopuścić do zmian w ustawodawstwie. Jego klienci nienawidzili zmian. Dzisiaj taktyka ta była rutynowo stosowana w Kongresie. Stale musiał też wykonywać działania osłonowe, by odpiierać ataki przeciwników jego klientów. Ileż razy uniknął nieszczęścia, zalewając biura posłów listami, propagandą, lekko zawołowanymi groźbami wycofania wsparcia finansowego. „Mój klient poprze Pańską próbę reelekcji, panie senatorze, ponieważ wiemy, że będzie pan działał zgodnie z naszymi życzeniami. Przy okazji, czek ze wsparciem jest już na koncie Pańskiej kampanii”. Ileż razy mówił te słowa!

Jak na ironię, właśnie sukcesy i dochody z działań lobbystycznych na rzecz potężnych mocodawców ponad dziesięć lat temu doprowadziły do dramatycznej zmiany w życiu Buchanana. Zamierzał najpierw zająć się karierą, a później znaleźć żonę i założyć rodzinę. Postanowił wcześniej zwiedzić świat i w ramach fotograficznego safari przemierzał zachodnią Afrykę w wartym sześćdziesiąt tysięcy dolarów rangeroverze. Obserwował przepiękne zwierzęta, ale widział też ludzką nędzę i niewyobrażalne cierpienia. Podczas następnej wycieczki do odległych części Sudanu zobaczył masowy pochówek dzieci. Powiedziano mu, że to epidemia wyludniła wioskę. Była to jedna z szalejących chorób, które często nawiedzały tę okolicę – podobno coś w rodzaju odry.

Podczas kolejnej podróży widział, jak miliardy amerykańskich papierosów

wyładowywano w chińskich dokach, by wypalili je ludzie, którzy całe życie spędzali w maskach z powodu piekielnego zanieczyszczenia powietrza. Oglądał urządzenia do kontroli urodzeń, zabronione w Stanach Zjednoczonych, a setkami tysięcy wysyłane do Ameryki Południowej z instrukcjami jedynie po angielsku. Widział lepianki obok drapaczy chmur w Meksyku, głód w sąsiedztwie rezydencji złodziejskich kapitalistów w Rosji. Nie mógł odwiedzić Korei Północnej, ale wiedział, że to gangsterskie państwo, w którym w ciągu ostatnich pięciu lat dziesięć procent populacji umarło z głodu.

Po dwóch latach takiego „pielgrzymowania” Buchananowi przeszła ochota na małżeństwo i własną rodzinę. Wszystkie umierające na jego oczach dzieci stały się jego dziećmi, jego rodziną. Wiedział, że stale będą pojawiały się świeże groby głodujących tego świata, młodych i starych – stale, ale nie bez walki, która teraz stała się także jego udziałem. Wniósł w tę walkę wszystko, co miał, więcej, niż kiedykolwiek poświęcił działaniom na rzecz potworów tytoniowych, chemicznych i producentów broni. Doskonale pamiętał, kiedy doszło do tego objawienia: było to w drodze powrotnej z podróży do Ameryki Południowej, w toalecie na pokładzie samolotu, na kolanach, z chorym żołądkiem. Czuł się tak, jakby osobiście zamordował każde dziecko, jakie widział na tym kontynencie.

Kiedy otworzyły mu się oczy, zaczął odwiedzać wybrane miejsca, by się dokładnie dowiedzieć, jak może pomóc. Osobiście wysłał do pewnego kraju transport żywności i lekarstw – po czym dowiedział się, że nie ma sposobu przekazania ich do potrzebujących regionów w głębi tego kraju. Bezradnie patrzył, jak złodzieje rozgrabili jego „dar” do czysta. Po tym doświadczeniu zaczął pracować jako wolontariusz przy zbieraniu funduszy na rzecz rozmaitych organizacji humanitarnych, od CARE do Katolickiej Służby Pomocy. Radził sobie dobrze, ale była to kropla w bezkresnym morzu. Liczby nie nastrajały optymistycznie, wynikało z nich, że sytuacja staje się coraz gorsza.

Wtedy właśnie Buchanan zdecydował się wykorzystać swoją władzę nad Waszyngtonem. Porzucił firmę, którą założył, zabierając jedną tylko osobę: Faith Lockhart. W ciągu tych ostatnich dziesięciu lat jego klientami, jego podopiecznymi były najbiedniejsze państwa świata. Uważał je raczej za zlepkę zniszczonych, pozbawionych głosu ludzi. Poświęcał resztę życia na rozwiązywanie nierozwiązywalnych problemów światowej nędzy.

Użył całego swego olbrzymiego talentu oraz rozległych waszyngtońskich kontaktów, ale wkrótce odkrył, że jego nowe sprawy błędą w porównaniu z poprzednimi. Kiedy zjawiał się na Wzgórzu Kapitołińskim jako adwokat potężnych sił, politycy witali go uśmiechami, za którymi bez wątpienia kryły się wizje datków na rzecz kampanii i dolarów z komitetów działań politycznych. Teraz odchodził z niczym, niektórzy członkowie Kongresu marudzili, że nie mają nawet paszportów, a Stany Zjednoczone i tak wydały już zbyt wiele na pomoc dla zagranicy. Mówili, że dobroczynność należy zacząć u siebie i – do cholery – starajmy się na tym też skończyć. Zdecydowanie najczęściej słyszał jednak coś takiego:

- Danny, a gdzie tu miejsce na mój elektorat? W jaki sposób nakarmienie Etiopczyków pomoże mi w ponownym wyborze?

Szybko przemieszczał się od gabinetu do gabinetu i coraz lepiej wyczuwał, że w gruncie rzeczy wszyscy go żałują: Danny Buchanan, być może największy lobbysta wszech czasów, zestarzał się i zgłupiał. To takie smutne. Jasne, że to w słusznej sprawie i w ogóle, nie ma co do tego wątpliwości, ale zejdźmy na ziemię. Afryka? Głodujące dzieci w Ameryce Łacińskiej? Mamy tu własne problemy.

- Słuchaj, Danny, nie ma tam handlu, armii ani ropy. Po jaką cholere miałbym marnować czas? - usłyszał od pewnego wielce szanowanego senatora.

Można to uznać za kwintesencję amerykańskiej polityki zagranicznej. Buchanan wiele razy zapytywał sam siebie, czy naprawdę są tacy ślepi, czy też rzeczywiście to on stał się żalosnym głupkiem? W końcu stwierdził, że zostaje mu jedna możliwość - całkowicie nielegalna, ale od człowieka stojącego na skraju przepaści nie można wymagać absolutnej wierności podstawowej etyce. Zaczął mianowicie używać nagromadzonej przez lata fortuny do przekupywania ważnych polityków. Działało to cudownie, pomoc wzrastała na rozmaite sposoby. Jego osobisty majątek szybko topniał, ale Buchanan wierzył, że wszystko idzie coraz lepiej. W każdym razie nie szło gorzej, za sukces uznawał utrzymanie cennego, z trudem wywalczonego terenu. Tak to wszystko dobrze szło... do zeszłego roku.

Jak na zawołanie, ze wspomnień wyrwało go pukanie do drzwi. Ekipy sprzątające dawno już skończyły pracę, budynek był zamknięty i miał jakoby być bezpieczny. Nie wstał, po prostu patrzył, jak drzwi się otwierają i pojawia się w nich zarys wysokiego mężczyzny. Mężczyzna włączył światło. Buchanan zmrużył oczy, a kiedy już przyzwyczaił się do światła, zobaczył, jak Robert Thornhill zdejmuje płaszcz, wygładza marynarkę i koszulę i siada naprzeciw niego. Jego ruchy były niespieszne, pełne gracji, jakby wpadł na drinka do swego klubu.

- Jak się tu dostałeś? - ostro zapytał Buchanan. - Ten budynek ma być podobno bezpieczny. - Miał wrażenie, że za drzwiami przemykają tłumy ludzi.

- Jest taki, Danny, jest. W większości wypadków.

- Nie lubię, jak tu przychodzisz, Thornhill.

- Jestem na tyle uprzejmy, by używać twego imienia, i byłbym wdzięczny za wzajemność w tej kwestii. Jasne, że to drobiazg, ale przynajmniej się nie domagam, byś zwracał się do mnie per panie Thornhill. Bo w gruncie rzeczy tak przecież powinno być w stosunkach pomiędzy panem i sługą, prawda, Danny? Widzisz, nie jestem taki zły.

Buchanan wiedział, że pewność siebie Thornhilla ma go doprowadzić do stanu, w którym nie będzie potrafił jasno myśleć. Odchylił się więc w krześle i założył ręce na piersiach.

- Czemuż zawdzięczam przyjemność goszczenia cię, Bob?

- Twojemu spotkaniu z senatorem Milsteadem.

- Mógłbym się z nim spotkać w mieście. Nie rozumiem, dlaczego się upierasz, bym pojechał do Pensylwanii.

- Zyskujesz w ten sposób kolejną możliwość przemówienia w imieniu tych głodujących mas. Widzisz? Mam serce.

- Czy dla twojej świadomości, sumienia czy jakkolwiek to nazwiesz, ma jakieś znaczenie to, że wykorzystujesz do własnych egoistycznych celów nędzę milionów mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy za cud uważają to, że znowu udało im się zobaczyć wschód słońca?

- Nie płacą mi za świadomość, płacą mi za ochronę interesów tego kraju. Twoich interesów. Poza tym, gdyby posiadanie sumienia miało być kryterium, to w tym mieście nikt by nie został. W gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko biednym i bezbronny, pochwalam twoje wysiłki. Chwała ci za to, Danny!

- Wybacz, ale nie kupuję tego.

- Każde państwo na świecie ma ludzi takich jak ja. - Thornhill się uśmiechnął. - To znaczy ma, jeśli jest wystarczająco mądre. To my musimy dbać o to, czego wszyscy chcą, ponieważ niemal każdemu brakuje odwagi, by zrobić to samemu.

- Odgrywasz więc rolę Boga? Interesująca praca.

- Bóg jest koncepcją, a ja działam w sferze faktów. A fakty są takie, że swoje cele osiągasz za pomocą nielegalnych środków. Dlaczego miałbyś zabraniać mi robić to samo?

Prawdę mówiąc, Buchanan nie miał na to odpowiedzi, a niewzruszony spokój Thornhilla potęgował jedynie poczucie bezradności.

- Jakies pytania w związku ze spotkaniem z Milsteadem? - zapytał Thornhill.

- Masz dosyć kwitów na Harveya Milsteda, by trzy razy skazać go na dożywocie. O co ci naprawdę chodzi?

- Mam nadzieję, że nie chcesz oskarżyć mnie o to, że mam jakieś ukryte cele. - Thornhill chrząknął.

- Bob, przecież możesz mi powiedzieć, jesteśmy partnerami.

- Może chodzi mi tylko o to, by widzieć, jak skaczesz na każde moje skinienie.

- Dobra, ale jeśli będziesz tak podskakiwał, to za rok możesz nie wytrzymać ciężaru własnej władzy.

- Samotny lobbysta próbuje mnie wystraszyć - westchnął Thornhill. - No, może nie całkiem samotny. Masz przecież jednoosobową armię. Co z Faith? Wszystko w porządku?

- Nie mieszaj w to Faith. Ona nigdy nie będzie w to wmieszana.

- Tylko ciebie mam na celowniku - zgodził się Thornhill. - Ciebie i twoją doborową grupę złodziejskich polityków. Sama śmietanka Ameryki.

Buchanan chłodno patrzył na przeciwnika.

- Sprawa dojrzeła do rozwiązania, Danny. Przedstawienie niedługo się skończy. Mam nadzieję, że jesteś gotów do zniknięcia.

- Kiedy zniknę, moje ślady będą nie do znalezienia nawet dla twoich szpiegów.

- Pewność siebie inspiruje, ale często też zwodzi.

- Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć? Żebym był przygotowany do ucieczki? Byłem do tego gotów od chwili, w której cię spotkałem.

Thornhill wstał.

- Skup się na senatorze Milsteadzie. Dostarcz jakiegoś krwistego materiału. Porozmawiaj z nim o jego dochodach, kiedy będzie na emeryturze, o zadaniach, jakie będzie musiał wykonywać jako figurant. Im więcej szczegółów, tym lepiej.

- Pewniej się czuję, widząc, jak cię to bawi. To pewnie większa frajda niż Zatoka Świń.

- To nie było za moich czasów.

- To nic, jestem pewien, że gdzie indziej odcisnąłeś swój ślad.

Thornhill na moment się zdenerwował, ale zaraz wrócił jego spokój.

- Byłbyś dobrym pokerzystą, Danny, ale pamiętaj, że kiedy nie masz nic w kartach, to blef jest tylko blefem. - Thornhill włożył płaszcz. - Nie musisz mnie odprowadzać, znajdę drogę.

Po chwili już go nie było. Wyglądało, jakby pojawiał się i znikał, kiedy tylko chciał. Buchanan znów rozparł się w krzesło i głęboko odetchnął. Ręce mu się trzęsły, więc silnie przycisnął je do biurka, aż drżenie ustało. Thornhill wpadł w jego życie jak torpeda. W gruncie rzeczy Buchanan został jego lokajem. Szpiegował teraz tych, których przez lata własnymi pieniędzmi przekupywał, zbierał dla tego potwora olbrzymi materiał, który pozwoli mu na szantaż. I nie miał siły, by go zatrzymać.

Na ironię losu zakrawało to, że kurczenie się zasobów materialnych i obecna praca w czyjejś służbie doprowadziły Buchanana tam, skąd przyszedł. Wychowywał się na cudownej Philadelphia Main Lane, mieszkał w jednej z najwspanialszych posiadłości w tej okolicy. Mury z polnych kamieni, na podobieństwo grubych pociągnięć szarą farbą na płótnie, wyznaczały granice olbrzymich, doskonale utrzymanych trawników, na których stał niezgrabny, ponadtysiącmetrowy dom z szerokimi zadaszonymi werandami i garażem dla czterech samochodów, z oddzielnym mieszkaniem nad nim. Było tam więcej sypialni niż w średniej wielkości akademiku, a w licznych łazienkach z drogimi kafelkami złoto błyszczało nawet na zaworach.

To był świat błękitnokrwistej Ameryki, w którym skrajny sybarytyzm łączył się z olbrzymimi wymaganiami. Buchanan z bliska obserwował ten skomplikowany świat, choć nie był jednym z jego uprzywilejowanych mieszkańców. Jego rodzina pracowała u nich jako kierowcy, pokojówki, ogrodnicy, nianie, posługacze i kucharze. Buchananie masowo wyemigrowali z zimnych obszarów kanadyjskiego pogranicza na południe, do łagodniejszego klimatu i pracy lżejszej od operowania siekierą, łopatą, łodzią i haczykiem. Tam musieli polować, by zdobyć pożywienie, i ścinać wełnę, by się ogrzać, a i tak bezradnie patrzyli, jak natura bezlitośnie przetrzebia ich szeregi. Ci, którzy przetrwali, byli przez to silniejsi. Danny Buchanan zaś był chyba najsilniejszy z nich wszystkich.

Jako nastolatek Danny Buchanan podlewał trawniki i czyścił basen, zamiatał i odmalowywał kort tenisowy, zbierał kwiaty i warzywa, wreszcie bawił się - oczywiście z zachowaniem należytego szacunku - z dziećmi. Kiedy podrósł, zbliżył

się do młodego pokolenia zepsutych bogaczy. W zakamarkach wielkich ogrodów kwiatowych wspólnie pili, palili i nawzajem odkrywali się seksualnie. Raz nawet występował jako żalobnik i, szczerze płacząc, niósł dwoje młodych i bogatych, którzy zginęli wskutek zmieszania zbyt dużej ilości whisky ze zbyt szybkimi, jak na ich ograniczone po alkoholu umiejętności, samochodami. Kiedy żyje się tak szybko, często tak samo szybko się umiera. W tej chwili Buchanan dostrzegł raptownie zbliżający się własny koniec.

Od tamtych czasów Buchanan nie czuł się dobrze ani wśród bogatych, ani wśród biednych. Nie miał szans na zostanie jednym z bogatych, choć jego majątek rósł bardzo szybko. Bawił się z potomkami bogaczy, ale kiedy nadchodziła pora posiłku, oni udawali się do jadalni, a on szedł do kuchni, gdzie jadał wspólnie z innymi służącymi. Młodzi arystokraci studiowali na Harvardzie, w Yale i Princeton, a on musiał się przedzierać przez szkołę wieczorową, z której tamci śmialiby się w głos.

Równie obca była mu własna rodzina. Wysyłał pieniądze krewnym, a oni je odsyłali. Kiedy ich odwiedzał, okazywało się, że nie mają o czym rozmawiać – ani nie rozumieli tego, co robił, ani też ich to nie obchodziło. Dawali mu jednak odczuć, że jego zajęcie nie ma nic wspólnego z uczciwą pracą, wyczuwał to w ich ściągniętych twarzach, w cedzonych słowach. Z ich punktu widzenia Waszyngton był piekłem. Wiedzieli, że kłamie dla pieniędzy, olbrzymich pieniędzy. Uważali, że lepiej by zrobił, gdyby poszedł w ich ślady i zajął się prostą, uczciwą pracą. Wzniósł się ponad nich, ale zarazem upadł poniżej tego wszystkiego, co reprezentowali: uczciwości, prawości, charakteru.

Droga, którą podążał w ciągu ostatnich dziesięciu lat, pogłębiła tylko to osamotnienie. Niewielu miał przyjaciół, choć od niego zależało przeżycie milionów nie znanych mu ludzi na całym świecie. Sam musiał przyznać, że to dziwaczna sytuacja. Kiedy pojawił się Thornhill, Buchanan zszedł kolejny stopień w kierunku zatracenia. Nie mógł ufać nawet jedynej bezdyskusyjnie pokrewnej duszy, Faith Lockhart. Nie wiedziała o Thornhillu i nigdy się nie dowie o tym człowieku z CIA. Tylko dlatego mogła być bezpieczna, ale dla Buchanana oznaczało to utratę ostatniej nici porozumienia z kimś. Teraz był naprawdę samotny.

Podszedł do okna i spojrzał na znane na całym świecie majestatyczne pomniki. Można powiedzieć, że ich cudowne fasady miały podobne zadanie jak ręka magika: miały odwodzić oczy od naprawdę ważnych interesów tego miasta, zawieranych zazwyczaj z korzyścią jedynie dla wybrańców.

Buchanan nauczył się, że efektywna, długotrwała władza bierze się w zasadzie z subtelnej przewagi nielicznych nad wieloma, wynikającej z tego, że w większości ludzie nie są zwierzętami politycznymi. Potrzebna była delikatna równowaga pomiędzy tymi nielicznymi a resztą, równowaga osiągnięta w łagodny, cywilizowany sposób. Buchanan wiedział, że najdoskonalszym przykładem takiej równowagi było właśnie to miasto.

Zamknął oczy i dał się ogarnąć ciemności, czekając, aż napłynie nowa porcja energii, która pomoże mu w jutrzejszej walce. To na pewno będzie bardzo długa noc, bo, prawdę mówiąc, jego życie stało się długim tunelem wiodącym donikąd.

Gdybyż choć mógł sprawić, że razem z nim zginie Thornhill! Potrzebny mu jedynie krótki trzask w ciemności. Gdyby tylko mogło tak się stać...

4

Samochód jechał autostradą z maksymalną prędkością. Za kierownicą siedział mężczyzna, obok niego kobieta. Oboje byli sztywni, jakby się obawiali, że sąsiad może zniecka zaatakować.

Faith Lockhart usłyszała ryk samolotu i zobaczyła podchodzący do lądowania odrzutowiec z wysuniętym podwoziem. Przymknęła oczy. Przez chwilę wyobraziła sobie, że jest w samolocie, który nie ląduje, ale właśnie wyrusza w daleką podróż. Powoli otwarła oczy akurat w momencie, gdy samochód zjechał z autostrady. Denerwująca poświata sodowych lamp została za nimi, a jedynym źródłem światła poza podwójnymi reflektorami samochodu były teraz pulsujące gwiazdy. W ich migotliwym świetle widać było teraz szpalery drzew po obu stronach drogi, a za nimi pojawiały się szerokie i głębokie rowy, wilgotne i porośnięte trawą.

- Nie rozumiem, dlaczego agent Reynolds nie mogło dziś tu być - odezwała się Faith.

- Mówiąc wprost, to nie jest jedyne śledztwo, jakie prowadzi - odpowiedział agent specjalny Ken Newman. - Ale przecież nie jestem chyba zupełnie obcy, co? Spróbujmy pogadać jak poprzednio. Wyobraź sobie, że jestem Brooke Reynolds. W końcu oboje jesteśmy z jednej drużyny.

Samochód skręcił w jeszcze mniejszą drogę. Zamiast drzew pojawiły się gołe pola, czekające na ostateczne wyrównanie przez buldożery. Za rok będzie tu prawie tyle domów, ile przedtem było drzew, a to w związku ze stałą ekspansją przedmieść. W tej chwili okolica wyglądała na zniszczoną i beznadziejną, być może w związku z tym, co miało się z nią wkrótce stać. Pod tym względem Faith Lockhart czuła się tak samo.

Newman spojrzał na nią. Niechętnie się do tego przyznawał, nawet przed sobą samym, ale czuł się nieswojo w towarzystwie Faith Lockhart. Było to trochę jak przebywanie obok podłączonej do detonatora kulki plastiku, bez najmniejszego pojęcia, kiedy wybuchnie. Poruszył się na siedzeniu. Miał nieco zgrubiałą skórę w miejscu pod pachą, gdzie kabura ocierała się o ciało. Większość ludzi w Biurze miała w tym miejscu zgrubienie, ale on miał ciągle odciski, które się zdzierały. Właściwie uważał, że ten ból zwiększa jego czujność, bo nie mógł się odprężyć. Było to ostrzeżenie, że jeśli przestanie być czujny, to ta drobna niedogodność może stać się ostatnią, jaką w życiu odczuje. Dzisiaj jednak miał kamizelkę kuloodporną i kabura nie dotykała ciała, wobec tego i ból, i podwyższony stan gotowości były mniej wyraźne.

Faith czuła, jak krew uderza jej do głowy, jak wyostrzają się wszystkie zmysły, tak jak wtedy, kiedy leży się w łóżku w nocy i słyszy dziwny, niepokojący dźwięk. Kiedy jest się dzieckiem, w takiej sytuacji biegnie się do łóżka rodziców i znajduje pocieszenie w czułych, kochających ramionach. Jej rodzice jednak nie żyli, a ona miała już trzydzieści sześć lat. Któż czekał teraz na Faith Lockhart?

- A jutro będzie znowu agent Reynolds - pocieszył ją Newman. - Przy niej czujesz się lepiej, co?

- Nie wydaje mi się, by to określenie było adekwatne do mojej sytuacji.

- Jak najbardziej, i jest to bardzo ważne. Reynolds jest świetna. Mówiąc szczerze, gdyby nie ona, to cała ta sprawa byłaby w ślepych zaułku, bo nie dostarczyłaś nam zbyt wielu danych. Dopóki nie będziesz próbowała zniszczyć tego zaufania, Brooke Reynolds będzie twoim sprzymierzeńcem, będzie o ciebie dbać.

Faith założyła nogę na nogę i skrzyżowała ręce na piersiach. Miała prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, dość krótki tułów, jej zdaniem zbyt płaski biust, ale za to długie, zgrabne nogi. W ostateczności zawsze mogła na nie liczyć - przykuwały uwagę. Kształtne mięśnie łydek i ud, widoczne pod cienkimi pończochami, wystarczyły, by wzrok Newmana kilka razy z umiarkowanym zainteresowaniem uciekał w ich kierunku.

Odgarnęła długie, kasztanowe włosy z twarzy i oparła dłoń na nasadzie nosa. Wśród ciemnych włosów widać było kilka jaśniejszych pasemek. Na razie były niemal niezauważalne, ale to się z czasem zmieni. Na pewno ciśnienie, jakiemu ostatnio była poddawana, przyspieszy proces starzenia. Faith zdawała sobie sprawę, że obok ciężkiej pracy, błyskotliwości i zrównoważenia w karierze pomogło jej to, że jest atrakcyjną kobietą. Myśl, że wygląd ma znaczenie, wydawała się płytka, ale była prawdziwa, w szczególności gdy - tak jak ona - ma się do czynienia z przeważnie męską klientelą.

Doskonale wiedziała, że szerokie uśmiechy, jakie witały ją w gabinetach senatorów, nie tyle były zasługą jej szarych komórek, ile jej ulubionych spódniczek, kończących się wysoko nad kolanami. Czasami wystarczyło machnąć pantoflem: mówiła o umierających dzieciach, rodzinach mieszkających w kanałach w odległych krajach, a ci faceci mieli fioła na punkcie jej czółenek. Naprawdę, testosteron jest największą słabością mężczyzn i najpotężniejszym sprzymierzeńcem kobiet. W każdym razie pomaga wyrównać pole gry, które zawsze było przygotowane korzystnie dla mężczyzn.

- Miło, że tak się o mnie troszczycie - powiedziała. - Ale zabieranie mnie sprzed garażu? Przyjeżdżanie tutaj, nie wiadomo gdzie, w środku nocy? Czy to aby nie troszkę za dużo?

- Nie wchodziło w grę wprowadzenie cię do Biura Polowego w Waszyngtonie. Jesteś gwiazdą prawdopodobnie bardzo ważnego śledztwa. To miejsce jest bezpieczne.

- To znaczy, że jest to doskonałe miejsce dla skrytego ataku. Skąd wiesz, że nikt nas nie śledził?

- Jasne, że byliśmy śledzeni. Przez naszych ludzi. Gdyby jeszcze ktoś się wokół nas kręcił, to naprawdę nasi ludzie zauważyliby to, zanim nas tutaj wysłali. Jechał za nami samochód do czasu, gdy zjechaliśmy z autostrady, a tutaj nie ma nikogo.

- A więc twoi ludzie są nieomylni. Chciałabym, żeby i dla mnie tacy pracowali. Skąd ich bierzesz?

- Słuchaj, my znamy się na tym, co robimy, rozumiesz? Odpreź się. - Jednak wypowiadając te słowa, spojrział we wsteczne lustro, a potem na leżący na siedzeniu telefon komórkowy. Faith z łatwością czytała w jego myślach.

- Nagle potrzebujesz wsparcia?

Newman spojrział na nią ostro, ale nie odezwał się.

- Dobrze, przejdźmy więc do spraw najważniejszych - skwitowała. - Co naprawdę będę z tego miała? Nigdy tego dokładnie nie ustaliliśmy. - Newman nie odpowiadał, a Faith przez długą chwilę wpatrywała się weń, oceniając jego nerwy. Dotknęła jego ręki. - Podejmuję spore ryzyko - dodała.

Czuła, jak jest spięty pod marynarką. Nie puszczała go i ścisnęła coraz mocniej jego ramię. Mogła już odróżnić opuszkami palców materiał marynarki od koszuli. Kiedy lekko się do niej odwrócił, zobaczyła, że ma kamizelkę kuloodporną... Nagle zaschło jej w ustach. Newman spojrział na nią.

- Powiem szczerze. Nie ode mnie zależy, co będziesz z tego miała. Jak dotąd, niczego właściwie nam nie dałaś. Jeśli będziesz grała uczciwie, to wszystko będzie w porządku. Ubijesz interes, dostarczysz nam tego, czego potrzebujemy, i wkrótce z nową tożsamością będziesz sprzedawała muszle na Fidżi, a twój partner i jego wspólnicy staną się długoterminowymi gośćmi rządu. Nie igraj z tym, nie myśl o tym za dużo, po prostu spróbuj przez to przejść. Pamiętaj, że jesteśmy z tobą, jesteśmy twoimi jedynymi przyjaciółmi.

Faith ponownie oparła się, odrywając w końcu wzrok od kamizelki. Postanowiła teraz rzucić swoją bombę, przecież może wypróbować ją na Newmanie równie dobrze jak na Reynolds. Co prawda, pod pewnymi względami Reynolds i ona miały wiele wspólnego. Dwie kobiety w morzu mężczyzn. Kobieta agent subtelnie rozumiała wiele rzeczy, których mężczyzna nigdy by nie pojął. Z drugiej strony jednak były trochę jak dwa koty krążące wokół tych samych ości.

- Chciałabym wciągnąć w to Buchanana. Wiem, że mogę go do tego namówić. Jeśli będziemy pracowali razem, wasze oskarżenie będzie dużo mocniejsze - powiedziała bardzo szybko, z olbrzymią ulgą, że ma to wreszcie za sobą.

Twarz Newmana zdradzała jego zdziwienie.

- Faith, jesteśmy bardzo elastyczni, ale nie wchodzimy w układy z gościem, który, zgodnie z tym, co mówiłaś, jest mózgiem całej tej afery.

- Nie rozumiesz wszystkiego, nie wiesz, dlaczego to zrobił. On nie jest złym charakterem tego wszystkiego. To dobry człowiek.

- Złamał prawo. Jak powiedziałaś, korumpował urzędników rządowych. Mnie to wystarcza.

- Gdybyś zrozumiał, dlaczego to zrobił, nie myślałbyś w ten sposób.

- Nie polegaj na tej strategii, nie rób sobie tego.

- A jeśli powiem, że albo ja i Buchanan, albo nikt?

- To popełnisz największy błąd swego życia.

- A więc, albo on, albo ja?

- Wybór nie jest taki trudny.
- Muszę więc rozmawiać z Reynolds.
- Powie ci to samo co ja.
- Nie bądź taki pewien. Potrafię przekonywać, a poza tym przypadkiem mam rację.

- Faith, nie masz najmniejszego pojęcia, jak to wszystko się dzieje. Agenci FBI nie decydują o tym, kogo oskarżyć. Robi to prokuratura. Gdyby nawet Reynolds cię poparła, w co wątpię, to nie ma sposobu, by zgodzili się na to prawnicy. Gdyby spróbowali dopaść tych wszystkich potężnych polityków, a jednocześnie dobić targu z facetem, który tychże polityków w to wszystko wciągnął, to natychmiast stracą robotę. To jest Waszyngton, a my mamy do czynienia z ćwierćtonowymi goryłami. Telefony będą się urywały, media będą szalały, zakulisowe interesy będą finalizowane z niesamowitą szybkością, a na koniec nas upieką. Możesz mi wierzyć, robię to od ponad dwudziestu lat. Buchanan albo nic.

Faith spojrzała w niebo. Przez chwilę między chmurami dostrzegła Danny'ego Buchanana wrzuconego do ciemnej celi więziennej. Nie może do tego dopuścić, musi porozmawiać z Reynolds i prokuratorami, niech zobaczą, że Buchanan także powinien uzyskać immunitet. Tylko w ten sposób może się to odbyć. Z drugiej strony, Newman jest tak pewny tego, co mówi... I to, co mówi, jest absolutnie logiczne. To jest Waszyngton. Nagle, w mgnieniu oka, opuściła ją pewność siebie. Czy naprawdę ona - doświadczony lobbysta, który od Bóg wie jak dawna tasuje polityczne karty - nie oceniła poprawnie swej aktualnej sytuacji?

- Potrzebuję łazienki - powiedziała.
- Za jakieś piętnaście minut będziemy na miejscu.
- Gdybyś skręcił następną w lewo, to za niecałą milę jest całodobowa stacja benzynowa.
- Skąd wiesz? - Spojrzał zdziwiony.

Zrewanżowała się spojrzeniem pełnym pewności siebie, ukrywającym narastającą panikę:

- Lubię wiedzieć, w co wchodzę. Dotyczy to i ludzi, i miejsc.

Nie odpowiedział, ale skręcił w lewo i wkrótce wjechali na oświetloną stację Exxon, obok której był sklepik. Autostrada musiała być w pobliżu, pomimo pozornego odosobnienia stacji, bo na parkingu stało sporo samochodów. Widać było, że jest to także stołówka kierowców wielkich ciężarówek. Na parkingu kręcili się ludzie w wysokich butach i kowbojskich kapeluszach, wranglerach i wiatrówkach ze znakami firm produkujących części samochodowe. Niektórzy cierpliwie napełniali zbiorniki benzyną, inni popijali gorącą kawę. Cienkie pasemka pary unosiły się znad zmęczonych twarzy. Nikt nie zwracał uwagi na osobowy sedan, który zatrzymał się obok toalety, przy końcu budynku.

Faith zamknęła za sobą drzwi toalety i usiadła na muszli. Potrzebowała czasu do namysłu, by zapanować nad narastającą paniką. Popatrzyła wkoło, niewidzącym wzrokiem prześlizgiwała się po gryzmołach wymalowanych na żółtych ścianach.

Niektóre, bardziej obsceniczne, niemal wywołały u niej rumieniec, inne były dowcipne, nawet bardzo, w swym prostactwie. Prawdopodobnie przerastały wszystko, co mężczyźni wymyślili i wypisali na ścianach swych toalet, choć większości mężczyzn nigdy nie powstałoby to w głowie. Mężczyźni nigdy nie doceniają kobiet.

Splukała twarz zimną wodą i wytarła papierowym ręcznikiem. W tej samej chwili kolana nie wytrzymały i zacisnęła je, mocno ściskając palcami porcelanową umywalkę. Czasem miała koszmary, że dzieje się to na jej ślubie: ścisła kolana i po chwili mdleje z tego powodu. No cóż, jedno zmartwienie mniej w tej chwili. Nigdy nie miała dłuższego związku, jeśli nie liczyć pewnego młodzieńca w piątej klasie, którego imienia nie mogła sobie przypomnieć, ale którego błękitnych oczu nigdy nie zapomni.

Danny Buchanan ofiarował jej trwałą przyjaźń. W ciągu ostatnich piętnastu lat stał się jej mentorem i zastępczym ojcem. Dostrzegł w niej potencjał, jakiego nikt inny nie widział. Dał jej szansę, kiedy naprawdę tego potrzebowała. Przybyła do Waszyngtonu z bezgranicznymi ambicjami i entuzjazmem, ale absolutnie bez celu. Lobbyistka? Nic o tym nie wiedziała, ale brzmiało to podniecająco. I było dochodowe. Jej ojciec był dobrodusznym wędrowcem, wciągającym żonę i córkę w coraz to nowe pomysły wzbogacenia się. Stanowił jeden z najokrutniejszych wynalazków przyrody: wizjoner bez talentu niezbędnego do zrealizowania wizji. Dochodowe prace trwały u niego dni, a nie lata. Wszyscy żyli z jednego nerwowego tygodnia na następny. Kiedy jego plany padały, wskutek czego tracił pieniądze innych ludzi, pakował Faith i matkę i uciekał. Czasami byli bezdomni, częściej głodni niż syci, a jednak ojciec do samej śmierci wciąż stawał na nogi, choć kulejąc. Bieda była niezbywalną częścią jej pamięci.

Faith szukała dobrego, stabilnego życia i nie chciała być od nikogo zależna. Buchanan dał jej możliwość i umiejętności potrzebne do zrealizowania marzeń, i znacznie więcej. Nie tylko miał wizję, miał też narzędzia do zrealizowania wielkich pomysłów. Nie mogła go zdradzić. To, co zrobił i co zamierzał zrobić, zapierało jej dech w piersiach z zachwyty. Był skałą, której potrzebowała na tym etapie życia. A jednak podczas ostatniego roku ich wzajemne stosunki się pogorszyły. Buchanan, coraz bardziej zamknięty, przestał z nią rozmawiać. Łatwo się denerwował i z byle powodu się obrażał, a kiedy naciskała, by powiedział, co go martwi, jeszcze bardziej się wycofywał. Było to dla niej tym trudniejsze do zaakceptowania, że ich związek był naprawdę bliski. Danny stał się skryty, przestał zapraszać ją na wspólne podróże, nawet przestali razem ustalać strategię dalszych działań.

W końcu zrobił coś dziwnego i fatalnego: okłamał ją. Sprawa była trywialna, ale skutki poważne. Jeśli kłamał w drobiazgach, to co ważnego przed nią ukrywał? Doszło między nimi do konfrontacji i Buchanan powiedział, że nic dobrego dla niej nie wyniknie z wiedzy na temat tego, co go gryzie. Dodał jeszcze coś, co usunęło jej grunt pod nogami: że jeśli chce przestać z nim pracować, to może to zrobić, a w ogóle może już na to najwyższy czas. Pracować! Odczuła to tak, jakby ojciec powiedział ukochanej córce, żeby zabierała się z domu.

Dlaczego chciał, żeby odeszła? Wtedy dopiero zrozumiała. Jak mogła nie widzieć

tego wcześniej? Byli na jego tropie. Ktoś go prześladował, a Danny nie chciał, by dzieliła jego los. Powiedziała mu to prosto w oczy, a on – również patrząc jej prosto w oczy – zaprzeczył. I znowu naciskał, by odeszła, szlachetny do końca.

Po długim namyśle zgłosiła się do FBI. Wiedziała, że jest szansa, by to FBI w jakiś sposób odkryło tajemnicę Danny'ego, ale pomyślała, że tak pewnie byłoby łatwiej. Cały czas miała tysiące wątpliwości co do swej decyzji. Czy naprawdę wierzyła, że Biuro po prostu wezwie Buchanana do prokuratora? Przeklinała się za podanie nazwiska Danny'ego, choć był on sławny w tym mieście sławnych ludzi, więc FBI i tak na pewno by się domyśliło. Chcieli, żeby Danny poszedł do więzienia. Ona za Danny'ego. I to miałyby być efekt jej działań? Nigdy nie czuła się bardziej samotna.

Spojrzała na swe odbicie w rozbitym lustrze. Kości twarzy niemal przebijały skórę, dokładnie przed sobą widziała swój oczodół. Centymetr skóry pomiędzy nią a nicością. Jej wielka wizja sposobu ucieczki dla nich obojga nagle stała się wizją szalonego, oszalamiającego upadku. Ojciec po prostu by się spakował i uciekł, a co ma zrobić córka?

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).